Czubek periodyczny



Skład redakcji:

Bartłomiej Figura, Michał Maciąg

Nr 5/2015 13.05.2015

„Czubek wieńczy dzieło."

M. Maciąg

W DZISIEJSZYM NUMERZE:
Wywód o kwantowej teorii zagięcia czasu, na podstawie konstruktu x!!! Wyciek z USA n.t. zera ukrytego!!!
Musisz to wiedzieć, rząd chce byś o tym nie wiedział!!!

Tylko w „Czubku":

Michał Maciąg

Do * * * (368)

Wiele jest różnych znaków na świecie,

bo to są myśli namiastki.

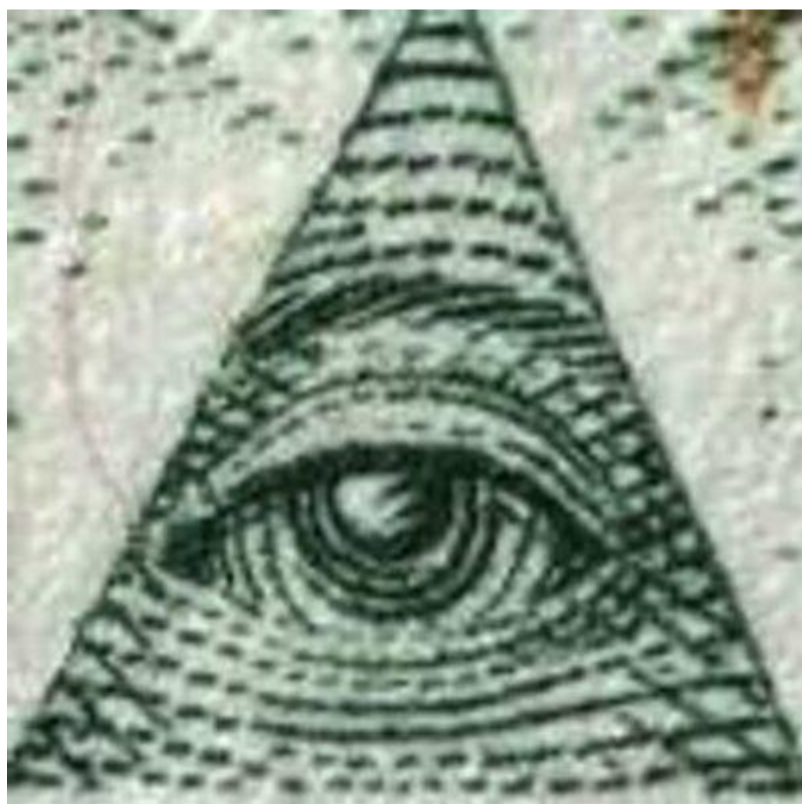
Lecz wyście są najbliższe poecie,

o, tajemnicze trzy gwiazdki!

28 kwietnia 2015 roku

■

Najnowsze badania dotyczące Tajemnic ludzkości i wszechświata - cz.1

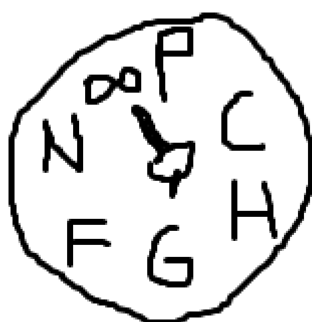


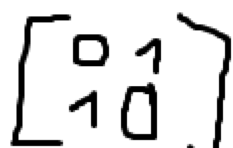
„Krew na liczbach i literach to spowodowała”

„Jesteśmy uwięzieni w matriksie, ten szyfr jest kluczem do poznania.”

„weniral cotinecum allemant sedes”

“Umiłowanie wiedzy nie może być powodem…” (dalej zabrudzone krwią)



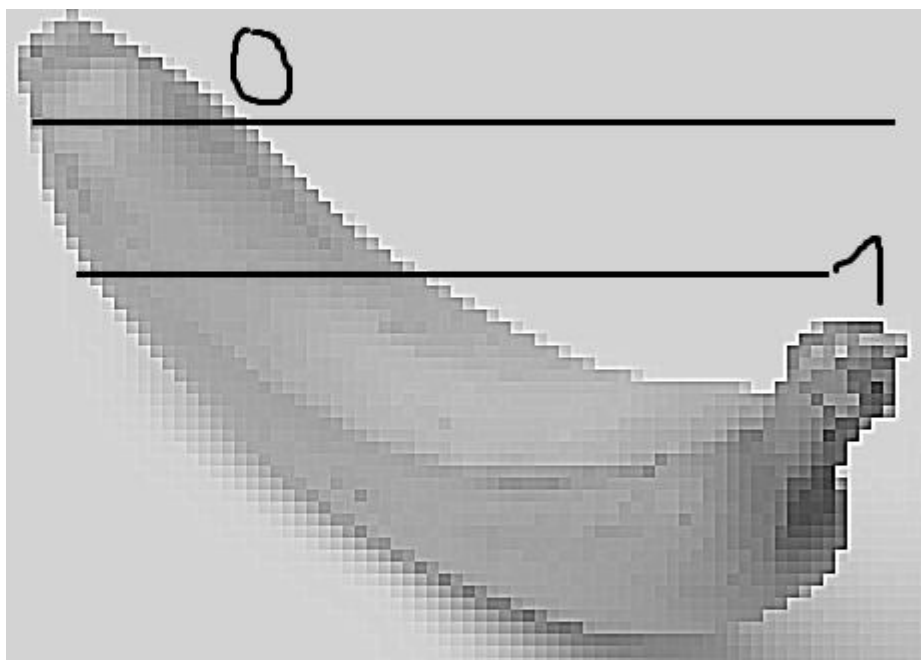


Po lewej stronie widać zegar wyrysowany około 1800 lat temu na drzwiach bazyliki Notre Dame- czyli w miejscu gdzie Illuminati się spotykali. Pod spodem widnieje macierz pomocnicza do rozszyfrowywania, FBI trzyma ją w największej tajemnicy, lecz najlepszym śledczym Czubka udało się do niej dotrzeć.

Aby przejść przez kumulację przestrzeni międzyliczbowych, należy odwiedzić i zapożyczyć zegar oświeconych w celu zrozumienia drgań fazy nieskończoności. Ciało posiadające masę MOŻE osiągnąć prędkość nadświetlną albowiem Einstein mylił się co do bazowego założenia technicznego kwantu pierwiastka grawitacji masy układu alfa.

Jednak aby odszyfrować tekst wiadomości, trzeba sprawdzić częstotliwość binarną układu cyfr alfa-beta. Aby to jednak wykonać potrzeba uniwersalnej wiedzy o wszechświecie,

która jest osiągalna w fazie minus gamma. Teoretycznie dałoby się to odkryć i dotrzeć ten punkt, jednak inteligencja potrzebna do określenia współrzędnych chociaż części kodu jest nieosiągalna dla człowieka, gdyż wykracza poza siódmy wymiar. Neurobiologiczne tkanki rdzeniowe tworzące matrycę liczbową płyty myślowej warstw logicznych wymiaru są zbyt skomplikowane do odtworzenia, gdyż atomy[1] pierwiastka ujemnej delty płynu są zbyt małe. Założenie inteligencji obiektów jest kłamliwe, ponieważ połączenia elektryczne, które następują pomiędzy kolejnymi elementami nie pozwalają na wytworzenie próżni astralnej, gdyż obiekt epsilon jest abstraktem. Nasuwa się więc na myśl natarczywe stwierdzenie: dlaczego? Odpowiedź na to można znaleźć w jednym tylko wzorze, będącym najpilniej strzeżonym przez rząd USA. Otóż ten wzór dzisiaj ujrzywa światło dzienne czasu słonecznego. Wygląda następująco: **1<0**. Fazowy nierząd całości modulo z kwanta sugeruje wartość obiektu II jako całkowicie ujemnego w sensie próżniowym, co implikuje algebraiczne i arytmetyczne zagięcie czasoprzestrzeni w okolicach zera i jedynki, co równoważne jest większości zera nad jedynką.



Zamieszczony tutaj konstrukt x, zaobserwowany przez wielu fizyków mikroskopem pikselicznym zdaje się być dowodem na powyżej wytłuszczone stwierdzenie. Jednak jego wartość nie została jeszcze udowodniona, ja więc to dokonam na łamach tego Czubka. Otóż istnienie krągłości w obszarze działania fali ujemnego bytu sugeruje, że zero jest kolejnym elementem nieskończoności naturalnej dodatniej oznaczanej przez omega. Odkrycie jego centrum (zero staje się innym, nowym wszechświatem) powoduje otwarcie kolejnej macierzy matryksa grawitacyjnego będącego nowym światem, z nowymi prawami fizyki nim rządzącymi. Zatem dowodzi to ilość liczby multiplikacji personifikacji kwantów iloczynu składowej omegi- bety II, tworzącej jedno- próżnię. Miejsce dla bytu nieistotne, będące awersją dla bytu, tworzące jednak byt od środka, będące odwrotnością środowiska. Miejsce tworzące podwaliny pod kolejne wszechświaty. Próżnia, która jest niczym, bez wątpienia jest porównywalna do zera, które jest jedynym uniwersalnym słowem. Zero oznacza nic, jest inne niż jedynka, którą można rozbić. Zatem w każdym elemencie próżni, których jest nieskończenie wiele, kryje się wszechświat, każdy „kawałek” próżni mieści nieskończenie wiele zer tworzących nieskończenie wiele pętli. Powoduje to destabilizację czasu, który będąc tworem ciekłym ucieka do innych wszechświatów. Zasada naczyń połączonych

[1] atomy – to takie małe kuleczki (przyp. aut.)

Archimedesa powoduje ucieczkę czasu do niższych światów. Co za tym idzie: zbliża się koniec. Samotworzące się wymiary powodują rozszerzenie przestrzeni, tworząc w niej nieskończenie wiele miejsca. Zatem nieskończoność liczby wymiarów jest astralnie poprawna i akceptowana przez fizyków. Jednak czas uciekając do innych wymiarów i wszechświatów, wymywa ze sobą część naszego wymiaru. Tworzą się połączenia między wszechświatami, które współczesna fizyka nazywa czarnymi dziurami. Niestety, takich dziur przez globalne ocieplenie robi się coraz więcej, dlatego czas coraz szybciej przedostaje się do kolejnych wymiarów, będąc tam zasysany, spowalnia. Dzięki temu, że w kolejnych: czwartym, piątym itd. Wymiarze jest coraz mniej czasu, stworzony tam niedobór powoduje swoiste podciśnienie czasowe, konsekwencją czego są wiatry czasowe. Wejście do zera pozwala zatem na podróż w czasie oraz na posiąście wszelakiej wiedzy. Kto zatem zna wejście do zera jest Bogiem, zna przyszłość przeszłość teraźniejszość oraz inne wymiary czasu i przestrzeni.

W następnym numerze przedstawię koncept fizyki motorycznej międzyastralnej, z napędem czasowym.



Michał Maciąg

Piosenka nastrojowa (375)

<u>Chwyty grzebieniowe:</u>

| , , , ‘ ‘ | ‘ ‘, , ‘ ‘ |

1. Gwiazdy błyszczały tak, jak setki oczu.

| , , , ‘ ‘ | , , ‘ ‘ | , , ‘ ‘ |

Jak noc czerwcowa, taka czarna była smoła.

| ‘ ‘ ‘, , | , , ‘ ‘, , |

A w raju było niczym na Roztoczu.

| ‘ ‘ ‘, , | ‘ ‘, , | , , , , |

Niebieska wstążka falowała jak Pregoła.

R:

Jak jeden dzień | , , , ‘ |

minęły dwie godziny, | , ‘ , | ‘ , ‘ , |

a głuchy pień | , , , ‘ |

był pełen zwietrzeliny. | , ‘ , | ‘ , ‘ , |

W objęciach dżdżu, | ‘ ‘ ‘ , |

przy czarnym polu gryki, | , ‘ , | ‘ , ‘ , |

przez dziurę w pniu | ‘ ‘ ‘ , |

wrzucaliśmy kamyki. | , ‘ , | ‘ ‘ , , |

2. Odbite w twarzy twej świeciły gwiazdy
i kołysały się z klekotem stare mosty.
Wokoło krążył wóz nauki jazdy,
gdy na buczynach rozwijały się porosty.

3. Przygrywał basem nam chrabąszczów kwartet,
kiedy znalazłem w futerale chleb ze smalcem.
Ty jedno oko miałaś półotwarte,
z drugiego wyjmowałaś coś serdecznym palcem.

4. W narodowego parku cichej aurze
w oddali tarły się rogami alfy-samce.
Z tabliczki patrzył pan na dinozaurze,
a my, skupieni, wciąż siedzieliśmy przy bramce.

5. Bardzo umaił się koniuszek flagi.

Już można grać pod gołym niebem w cymbergaja.

I przeszedł serca cichy szept: „Odwagi!”.

To pierwszy maja, drugi maja, trzeci maja.

6. Pod nami przemknął chrząszcz ze Szczebrzeszyna.

Nad nami przemknął helikopter ze Świdnika.

Wszystko przemyka, kiedy się zaczyna.

Okrągły czas się toczy w dal i w dali znika.

11 maja 2015 roku



„Мой город Бишкек, зелёных улиц прохлада,
таинственный рай и мне другово не надо.”

"Moje miasto Biszkek, zielonych ulic chłód,
tajemniczy raj i mi innego nie trzeba."

Temir Nazarow (Kirgistan), "Biszkek"

Bartłomiej Figura

Biszkek

Dla Tego, który (mam nadzieję) wie, że to dla Niego

i dla R.P.

Daj mi, Ojczyzno, ogniem gniewu bunt,
dwadzieścia dziewięć strun nadszarpnę liry,
rozgrzany pęknie pręt, ognista broń,
a wieża runie w gruz podziwu.

Ognisty daj mi pręt, Ojczyzno,
w zielonym kwieciu łąk majowych,
gwiazd tych – nikt inny nie odgadnie,
co w tym powietrzu – ponad głowy.

Lekkim kolorem daj mi wznosić
ku górze każdy wiew powietrza,
gdzie kwasu chlebowego beczka
jest nam napojem codzienności.

Nie wszyscy w kwasie zapatrzeni,
wśród alb i komży śmiech chowając,
czytając przed obojgiem płuc dziś,
wśród murów ludzi odkrywając.

Będziemy myśleć dniem dzisiejszym
nad dach kościoła do odnowy,
gdzie prawda jawi się dzisiejszym,
a co tam jutro – kto wypowie?

Obawy nasze? – nie ma obaw,
sen rozsiadł sioła okoliczne,
krowa do sfery sacrum wchodzi,
co było, to i jest – dziedzictwem.

Zaklęte mury w gruz kamieni,
obrosłe mchem tuż przy ołtarzu.
Kto Ziemio, los Twój ma odmienić,
kto Ci przywrócić dawną chwałę?

Czyliż to trzeba co przywracać,
gdy my, radością uniesieni,
będziemy pod pomnikiem wieszcza
słuchać milczący w zawierzeniu?

W kaplicy, w ciszy przed obrazem,
chronionym śniegów wielkich godzin,
gdy głos płynności nie odmawia,
gdy już piwnica w krwi nie brodzi?

A ja się na Mickiewicza wynurzyć wśród drzew,
ptaki zwyczajne zobaczyć, usłyszeć ich śpiew,
i niczego mi więcej niż na Kraszewskiego
przystanąć i tam dumać, tak, o myśli biegu.

A mi niczego więcej niż wejść w Słowackiego,
potem rozetnę kwartał i wypowiem Credo,
gdzie mi każda niedziela, gdzie mi każde święto,
a potem pod ratuszem ciastko (niczym w euro).

Dalej wejdę na cmentarz, gdzie dziesiątki godzin
wzrastało to co wzrasta często po powodzi.
Potem dajcie trabanta, żebym mógł się skłonić
w pas kamienicom miejskim – już nie słychać broni.

Dalej pozwólcie skłonić głowę przed pomnikiem,
gruzy synagog wszyscy dźwignijcie – wierzycie?
Dajcie mi mosty dźwignąć, klasztor odbudować,
a potem znowu w gmachu na Czwartku się schować.

Szukając nosa Kleopatry
z drogi tych kroków stumilowych,
i myślą uciekając co też
w już pozmienianych wód zdrojowych -
na konstelacje.

Zmienioną twarzą, życia ścieżką,
piachu bagnetem, śmiechem roślin,
zielenią parków – więcej koła -
i ja się śmieję wśród radości.

I ja się mury bez brezentu oddaję widzieć ponad słońce,

i słyszę to co słyszą inni, i pęd ku gwiazdom jasno lśniącym.

Te same będą i są wieże, niezmienne wśród zmienności swojej,

zawsze te same są ulice, a ponad Bóg jak zawsze stoi.

I będę dalej szarpał lirę, i będę wołał o To samo,

od wód południa jakże czystych, po wody śmiercią kołysane.

Od wód, co śmiercią kołysane, do wód północy jakże białych,

gdzie każde słowo, każdą bramę, gdzie Biszkek także chcę malować.

Niech mi się Biszkek, wśród ołtarzy, staje, niechaj zielonych ulic

schłodzona pora, niechaj zmienia, niechaj się każdy z nas raduje.

Gdy jeszcze broni szczęk nie opadł (a gdy się jeszcze nie wzniósł nowy, oby to nigdy nie nastało), ja patrzę w niebo i się modlę.

A jutro znowu tam wyskoczę, i dalej poprzez inne drogi,

i niech się dalej się lonty palą, i tylko z Wami, moi drodzy,

bo cóż mi ponad to co zawsze. Nad czasy i nad wszystko inne,

dzisiaj zaśpiewać chcę dziękczynnie, więc razem z Wami, „Alleluja!”.



Bartłomiej Figura i Michał Maciąg

zespoleni w jedną jaźń jako Szanowny Redaktor

Pan Stanisław – cz. 3

IV

Zacieki widniejące na górnych partiach pobliskiej ściany umilałyby życie rozmówcom. Tych jednak nie było. Pan Stanisław ostrożnym krokiem zszedł do schronu. Mnóstwo teatralnych szpargałów spadało na głowy, ale mężczyzna kroczył krokiem pewnym, niezachwianym. Blaszane rury ciągnące się pod powierzchnią byłego klasztoru stanowiły kwintesencję lubelskości. Nie można było twierdzić inaczej nawet wówczas, gdy panna Hanusia potknęła się o jakąś flaszkę i wyrżnęła delikatną główką o kanciasty plakat sprzed

dwudziestu pięciu lat. Stanisław zamknął drzwi i w pomieszczeniu zrobiło się całkowicie ciemno. No, prawie. Tylko zza załomu po prawej stronie docierało do eksploratorów lubelskich podziemi nikłe światło lampy gazowej, która z dużym prawdopodobieństwem dyndała gdzieś na końcu tego pomieszczenia. Ubrany w garnitur i nienaganne spodnie w kropki bordo starszy pan ujął swoją potężną prawicą dłoń tej drobnej, skromnej dziewczyny i pociągnął za sobą.

Dłoń Hanusi miała kształt opływowy. Była jednak zasadniczo różna od innych dłoni tego typu. Jej giętkie palce krzyżowały się w chwilach wielkiego napięcia, a pierścionek kupiony w Zabrzu przez jej obecnego przewodnika wyglądał jak pęcherz pławny ryby i sprawiał, że siła rażenia Rottenbergówny zwiększyła się znacząco.

Niewielu jednak wiedziało, że pan Stanisław był w Zabrzu, a jeszcze mniej osób wiedziało, co z tą informacją uczynić. Dłoń Hanusi delikatnie wysunęła się z dłoni pana Stanisława, ale ten, niezmordowany, dalej parł naprzód. Pająki penetrowały bujne włosy dziewczyny, a Pan Stanisław zniknął za załomem ściany. Ów załom ściany, powstały w wyniku załamania się fragmentu muru pod ciężarem innego fragmentu muru przypominał Hanusi jej krótkie dzieciństwo, spędzone w ciasnym mieszkaniu, na które składała się suszarnia zaadaptowana na pokój i kuchnię oraz pralnia przekształcona w łazienkę. Była przedostatnia wśród sześciorga rodzeństwa, ale pamiętała jeszcze czasy, gdy wszyscy mieszkali razem, a pan Stanisław odwiedzał jej siostrę, dawniej uczennicę technikum chemicznego, a dziś – szczęśliwą posiadaczkę daczy pod Czelabińskiem.

Ta wyprawa miała być inicjacją. Mistyczne przejście od rur wodociągowych do bonifraterskich było pierwszym etapem zgłębiania technik Elesemu, którego tajniki pozostawały niedostępne dla większości tatarystów. Tym razem jednak miało być inaczej. Antoszka Rubaszko nazwałby to „wyjątkiem, który olał regułę”.

Kołyszące się w oddali światło oberwało się, upadło i zgasło. Był to znak obecności pana Stanisława, który w swym życiu zniszczył już niejedną latarnię. Należało iść dalej.

c. d. n.

Bartłomiej Figura

Królik czy marchewka?... – cz. 3

Dla Tego, który (mam nadzieję) wie, że to dla Niego.

Wszelkie podobieństwo oraz zbieżność z rzeczywistością są całkowicie przypadkowe.

Wyszedłem z lasu. Tu zaraz był słup telegraficzny.* A może żelazna betonowa belka przecinająca miasto sukiennicami latarni? Nie było to dla mnie specjalnie ważne. Zbadałem więc dokładnie jego położenie, chwyciłem mocno, wyrwałem i zarzuciwszy na plecy, zacząłem taskać w kierunku szkoły. Czerń, którą dźwigałem, była zjawiskiem, podkreślającym świeżość powietrza, a tylko niektórzy z moich kolegów reagowali popukaniem się w czoło na widok tej niecodziennej sceny. Schyliłem się, przeorałem sufit i wkroczyłem do gmachu instytucji edukacyjnej. Cóż miałem robić, zamiast zostawić słup na podłodze, ruszyłem z nim ku górze. Schody zdawały ciągnąć się w nieskończoność, a setki gimnazjalistów pod nogami (z całym szacunkiem, ale tak to wyglądało) zdawały się zbliżać do przewrócenia nas na, nawykłą do tego, podłogę. Co było celem mojej wędrówki, co stanowiło egzystencjalną konieczność, sens wysiłków, które kierowały mną od początku? Co było tak ważne, a co tak nieistotne, żeby uczynić to, co właśnie robiłem? Z każdym kolejnym krokiem widziałem, że coś się zmienia, uśmiechy gapiów zmieniały się w przerażenie. „Kompromitować się" mogłem do woli, ale to? Zresztą, czy można się bardziej „skompromitować" niż przenosząc wśród uczniów latarnię miejską? Według mnie można, ale czyż nie pobijanie rekordów „kompromitacji" było jednym z moich celów? Poza tym, nie o to tym razem chodziło. Im bliżej byłem sali 512, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że coś jest nie tak. Ktoś skinął gdzieś palcem, ktoś zamilknął. Niebo zaszło się chmurami, a ja przekroczyłem próg sali. A więc jednak... Czaszka, leżąca do tej pory pod telewizorem, została podniesiona na biurko. Starzec z Windsoru odwrócił się od okna. W jego spojrzeniu czuć było sztylet przeszywający całą okolicę.

- No i co, panie Figura? Miłe spotkanie, prawda? Po latach w takich okolicznościach? – nie wiedziałem co mam odpowiedzieć. – I co? Milczymy? Mogłem się tego spodziewać. – pokiwał głową – A wcześniej byłeś taki wymowny. Wiesz co? Dalej jesteś. Więc dlaczego

milczysz? Zakazano ci mówić? – dalej nie reagowałem – No, mamy ci odciąć język? Przynajmniej będziesz miał uzasadnienie. – uśmiechnął się kpiarsko, usiadł i odpalił komputer. Filary zapadały się pod ciężarem atmosfery, uczniowie wszystko to obserwowali w ciszy.

- No, na co czekasz? Mam ci wysłać jakieś specjalne zaproszenie? – zakomenderował (bo de facto to była komenda), a już po chwili latarnia świeciła jasnym światłem po ciemnym pomieszczeniu. Sędziwy Ojciec przemknął po dachu i zniknął za kolejnym załomem. Czekałem na kolejny ruch Starca. Moment nieuwagi... Tego mnie nauczono. Latarnia oświetlała coraz mniejszy krąg, potem już tylko biurko, zgasło światło. Ciemności. I czyjś śmiech, dochodzący zza drzwi. Dzień czy noc? Nie wiedziałem.

* * *

Andrzej! – głos Jakuba był wyraźny, podobnie jak dźwięk wody skapującej...

- Co jest, do choroby? – otworzyłem oczy i podniosłem się na obydwu rękach. Nie poznawałem pomieszczenia, w którym się znajdowałem. Było mi ono całkowicie obce.

-Ty, popatrz, nawet szynkę tutaj mają! O, i kabanoski będą! Pycha... – mój towarzysz zaczynał mnie irytować, a z okolicy zalatywało...

- Gnojem. Choroba, gdzie my jesteśmy? – Wstałem, przetarłem oczy, zmoczyłem twarz zaciekami i zacząłem analizować sytuację. No, tak, typowa piwnica. Spojrzałem na oba okna. Za wąskie, za wysoko. O, proszę, ależ luksusy. Przynajmniej woda nie będzie nas zalewać...

- Uspokój się! – wrzasnąłem nagle, a prosiaczek znalazł się na moich rękach – to jest zwykła świnka, miej, człowieku, litość! No, naprawdę! Rozumiem, współczucie dla tych malutkich zwierzątek, ale żeby aż tak! – Jakub jednak nie przejmował się moimi krzykami, lecz pragnął wydostać się stamtąd za wszelką cenę. Wskakiwał na ściany, stawał na moich ramionach i robił wiele innych rzeczy, ale wszystkie one, podobnie jak i jego histeria, były bezcelowe. Pomieszczenie było całkowicie odcięte od wolnego świata, a nam pozostawał grzyb na ścianie i luksusowa woda piwniczna. Jakże piękne są Mazury o tej porze roku! Cóż, nie chciałem tkwić w tym pomieszczeniu przez miesiące, ale wielkiego wyboru nie miałem. Nie tym razem. W zasadzie to mogłem się tego spodziewać. Taki tryb życia, tyle akcji, każdy w końcu tak kończy. Zamyślony przemierzałem salę siedmiomilowym krokiem ku przyszłości. Co prawda urywał się on, ale krok stanowi zawsze pewne zaprzeczenie siły grawitacji i lot

powietrzny, a przecież zawsze może się on zakończyć upadkiem. Lot, jak ptak, jak orzeł nad mazurską wioską! Musiałem przerwać, znowu wpadłem na Jakuba. Ten, widząc, że sam z tego miejsca nie ucieknie, zdecydował się na bardzo drastyczną metodę likwidacji przyczyny jego zachowania. Pochłonięcie wszystkich prosiaczków znajdujących się w piwnicy. Jadł teraz na potęgę, wciskając sobie po kilka na raz do ust i próbując pozbyć się olbrzymich sił przeciwnika. Jednak te łatwo nie ustępowały. Starałem się go zatrzymać, ale to nic nie dawało. W końcu odpuściłem sobie, a on, po wielu godzinach walki, zasnął. Woda wciąż skapywała na moją, mokrą już w tamtej chwili, głowę, a my przetrwaliśmy pierwszy dzień w naszym niecodziennym areszcie. Wydobywczym?

* * *

Starzec dalej milczał? A może nie milczał? Może to ja byłem głuchy i nie słyszałem jego pytań, jego słów, może... Nie wiedziałem. Cóż bowiem może wiedzieć człowiek, stojąc przed jedną z największych światowych osobistości? Czy miało to w ogóle jakiekolwiek znaczenie? Niezależnie od odpowiedzi na te pytania, stałbym tam pewnie jeszcze przez godzinę, gdyby nie fakt pojawienia się niespodziewanego gościa. Do rozjaśnionego porannym słońcem pomieszczenia wkroczył Kapitan. Jak zwykle krok jego był sprężysty, a postawa świadczyła o niewzruszalności wojskowych regulaminów. Zaskoczony, milczałem.

- No i co, staruszku? Hehe... – poklepał się po brzuchu i odetchnął lubelską świeżością – Dyscyplina siadła, co? Nie robi się już tych zbiórek, co? Za moich czasów... Eh, panie... Hehehe... To to była musztra i rozumiesz pan... A widział pan kiedy Kraków... Eh, panie, Lublin to to tam, a jak pan pojedziesz do Krakowa... A wybiera się któryś do wojska? Eh, Panie... No to zobaczy.... Co to tam? – Starzec cały czas pracował, a ja nie odzywałem się. Dla bezpieczeństwa. Tego mnie nauczono. Z definicji.

Chwilę później nie było mi jednak dane pozostać poza wydarzeniami, gdyż mój były nauczyciel dostrzegł mnie, a twarz mu się rozjaśniła.

- Pan Figura, no proszę, kreda kredą, ale ludzie się tak bardzo nie zmieniają. Co to pan u mnie miał? Czwórkę? No, dobrze, sprawdzimy co pan pamięta. (Jak nie biędzie umiał to się postaraj, żeby tam mu z WF-u zaniżono, dobrze staruszku?) Proszę bardzo... Stopnie wojskowe. Ot, co. Podstawa pańskiego obycia w świecie. Pan wiesz, bez tego leżysz. Znajomości i plecy. Zip, panie i jedziesz dalej. No, dalej, jaki to stopień? – kolejne 45 minut, z niewiadomych przyczyn męczyłem się przy tablicy, a latarnia cały czas się świeciła. I co na

to urząd miasta? A podatnicy? Mogłem tylko obawiać się wyjścia na korytarz, gdzie żądny odpowiedzialności tłum powoli rozbijał namioty, a każda ławka stawała się barykadą na potrzeby późniejszego pościgu. Kapitanie, znajdź wyjście!

*   *   *

I wyjście się jednak znalazło. Chociaż nie była to zasługa Kapitana.

*   *   *

Dworzec runął. Wiedziałem to ja, wiedział to Michał, ale nikt poza nami. Zresztą, tu nie miało to żadnego znaczenia. Ponury gmach gimnazjum nr 32 w Kaliningradzie, w którym mnie osadzono, stanowił konieczne uzupełnienie do koncepcji tych, którzy mnie więzili. Pomarańczowe słońce zachodziło za horyzont, a podkute buty rosyjskiej żandarmerii sprawiały wrażenie codziennej niezmienności. Jednak tak nie było. Lecz zmienić tego nie mogłem, nie ja wszak decydowałem o swoim położeniu. Szkoła nie zmieniła się wcale tak bardzo od czasu, gdy ostatni raz ją widziałem. Te same sale, te same korytarze, ta sama stołówka. Ba, nawet te same były bułeczki z ziemniaczanym nadzieniem, po kilku latach smakujące już co najmniej dziwnie. Wówczas jednak były najlepszym sposobem by zaleczyć głód. Pułkownik Bachtiarow wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Szykowałem się do spędzenia kolejnych godzin na powtarzaniu tych samych zeznań, a przecież naprawdę nie mogłem wiedzieć, z jaką mocą świeciła ta latarnia w pokoju Starca.

Wpadka – to było słowo najczęściej przewijające się wśród pytań oficera. Wpadka, wpadka, wpadka. – Jakby nie można już było zapytać się o ocenę wczorajszej gry Juventusu, czy wtorkową Bayernu dalej radzącego sobie bez Robbena. Z każdą kolejną chwilą miałem dość, ale on nie zamierzał mi odpuścić. Nie tym razem. I wtedy, wśród ciągłych powtórek, gdy miałem już dość tego tematu, jego ton nagle zmienił się, barwa głosu stała się inna, a pytanie, niczym niezmącone, wybrzmiało w ciszy.

- Czy możesz opisać nam mieszkanie Lizy, w którym swego czasu przebywałeś? – Liza? Skąd oni wiedzieli o Lizie? Myśli rozpoczęły szaleńczy galop przez najbardziej skryte zakamarki mojej pamięci. Andrzej, Staszek, Dima... Nie, to nie mogła być prawda. Chwila, moment, uporządkować myśli. Moje zeznania muszą być składne. Jak oni się do tego dokopali? Prawda, byłem już nie raz w tym wspaniałym mieście, ale skąd oni wiedzieli o tak detalicznych sprawach? Zaraz, stop. Przecież oni wiedzieli o wszystkim. Moje wypowiedzi były przemyślane, a pytanie sypały się coraz rzadziej, aż w końcu dotarło do tego jednego.

- A góra? Przecież była tam jakaś góra, prawda?

- Właśnie na górze mieszkałem. Panie oficerze, to znaczy, towarzyszu oficerze – poprawiłem się, widząc grymas na jego twarzy – ja naprawdę wolałbym wiedzieć, do czego zmierzacie, ułatwiłoby nam to współpracę. Może nie musielibyście tak długo szukać.

Z miny, jaka stanowiła odpowiedź na moją propozycję wywnioskować można było tylko jedno – „nie jesteśmy tak głupi, jak ci się może wydawać.” W kolejnych dniach przesłuchania trwały dalej.

Zwolniono mnie po dobrych dwóch tygodniach i zameldowano przy prospekcie Lenina. Główna arteria z jednej strony powodowała swego rodzaju komfort pracy (krzyki sąsiadów, zamiast złowróżbnej ciszy), a z drugiej utrudniała pracę częstymi wizytami towarzyszy z FSB. Lepiej naprawdę nie mogli mnie ulokować. Lepiej oczywiście nie dla nich, lecz dla mnie.

Wiodłem więc sobie spokojne życie obywatela stolicy obwodu i przez nikogo nie niepokojony (poza wiadomymi osobami), byłem nawet zadowolony z tego co, dziwnym trafem, otrzymałem od państwa rosyjskiego. W takiej sytuacji ton, jakim zażądano ode mnie stawienia się dnia tego i owego przy budynku oceanarium musiał wzbudzić mój niepokój. I wzbudził.

* * *

– Witamy – rozpoczął obywatel, jak się przedstawił, Konturow – i oczekujemy pełnej szczerości i pełnego zaufania.

– To zależy od tego, z kim mam do czynienia. – zacząłem prostować sytuację. – Naprawdę wolałbym wiedzieć, kto i czego ode mnie oczekuje.

– Obywatelu, wy się nie martwcie, mądrzejsi od was opracowali te plany, więc i oni za nie będą odpowiadać. Wy zajmijcie się swoją robotą. No, to jak będzie? Podpiszecie? – zaciągnął się papierosem i podał mi plik kartek określających zasady mojej współpracy. Podpisałem. A miałem jakieś wyjście? Później będę rozgrywał.

– Cieszy nas ogromnie rozsądek obywatela. Nawet nie wiecie jak ogromnie. Obywatel to nie to, co niektórzy. A jak się zapierali. Jak walczyli. Teraz gniją w podziemiach.

– Jacyś konkretni?

– Ot, na przykład, towarzyszu, Dima Sowietnikow. Kim był to towarzysz wie? Nie? No, cóż, towarzysz to zagoniony w pracy państwowej, to nie ogląda dziennika telewizyjnego. Ale wiecie, tak wam powiem jak wojakowi, że ten Dima to tylko tania podpucha. Chłopcy z wojskówki nie byli w stanie po prostu znaleźć tego wyżej i teraz na nas to spada. I wiecie co? Niech to będzie wasze zadanie. Na jutro przygotuję nową umowę. Tylko tę unieważnijmy, o, tutaj. – podpisałem – Dziękuję bardzo. Witamy w służbie, towarzyszu. За родину!

– За родину!**

I tajemniczy osobnik spokojnym krokiem oddalił się w kierunku katedry. Na mostku minął się z jakąś kobietą. Ta w swoim tempie przeszła koło mnie, wybrała numer i wypowiedziała jedynie trzy, rzucone władczym tonem, słowa.

– Obiad na szóstą. – Te słowa wystarczyły, bym zamarł nad krawędzią. - Liza? - Gdy mnie spostrzegła rzuciła tylko zdziwione spojrzenie i odeszła w kierunku ulicy. Od tego momentu nie mogłem jednak pozbyć się wrażenia, że wplątano mnie w sprawę nie do końca tak jasną, jak rysował to oficer prowadzący. Tafla wody odbijała majowe liście, a moje wątpliwości mnożyły się na wszelkie sposoby. Kaliningrad milczał w zieleni drzew.

* Możliwe, że jest to cytat z jakiegoś dzieła z dwudziestolecia międzywojennego, ale szukając w podręczniku nie mogłem znaleźć tego tekstu. Jeśli ktoś będzie wiedział coś na ten temat proszę o kontakt.

** czytaj: [Za radinu!]; ros. Za ojczyznę!

c. d. n.

Michał Maciąg

Czereśnie (374)

Ugotowałem sobie czereśnie
i wyglądają teraz obleśnie,
i jeszcze są niedobre i kwaśne,
bo choć zmemłane, to dalej przaśne.
Może i zrobiłbym z tego wino.
Wino podobno dobre jest, ino
przyszło mi na myśl tak przed momentem,
że chyba lepiej być abstynentem.

Dałem Grzesiowi dzisiaj po mordzie,
bo nie zdążyłem całej ich hordzie.
Bo wylegają tutaj brudasy,
a mnie się zbiera zedrzeć z nich pasy.
A Grześ mi zeżarł gruszkę na drzewie
i gada, że on nic o tym nie wie.
Nikt by nie dostał i nawet Grześ nie,
gdyby na przykład zjadł te czereśnie...

Wyleciał z piekła dyscyplinarnie
jakiś profesor kolegium w Warnie.
A u nas jakoś nikt się nie stara
pod swoją strzechę przyjąć Bułgara.
Uciekł tu do nas przed pruskim drylem,
więc może ja bym szastnął azylem
(w końcu mam miejsce, jest jeszcze wcześnie),
gdyby nie stały tu te czereśnie...

Przy Montażowej wysiadła winda,
a mnie ta sprawa cokolwiek dynda,
bo mnie kompletnie winda nie bierze,
bo po co winda mi na parterze?
A zresztą nic mi do windy owej,
bo ja nie mieszkam przy Montażowej.
Może bym mieszkał, na przykład we śnie,
gdyby mi dały spać te czereśnie...

7 maja 2015 roku



Zapraszamy do zgłaszania własnych publikacji. Czekamy na Państwa teksty i rysunki. Propozycje publikacji oraz ewentualne pytania i komentarze prosimy kierować pod adres:

szanowny.redaktor@gmail.com